

Zbigniew Nosowski

Liturgia w doświadczeniu uczestnika

Collectanea Theologica 68/3, 5-14

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**LITURGIA U PROGU TRZECIEGO TYSIĄCLECIA
MATERIAŁY Z SYMPOZJUM LITURGICZNEGO
Akademia Teologii Katolickiej, 29 IV 1998**

ZBIGNIEW NOSOWSKI, WARSZAWA

LITURGIA W DOŚWIADCZENIU UCZESTNIKA

Choć przemawiam podczas sympozjum naukowego, pozwolę sobie skorzystać z przywileju bycia publicystą, a nie naukowcem, i przedstawię swe refleksje w 10 punktach, niekiedy przybierających kształt wyraźnych tez. Zapewne trochę ułatwi to słuchanie, zaszkodzi jednak raczej poziomowi wystąpienia. Uprzedzam także na wstępie, że będę mówił właściwie wyłącznie o liturgii Mszy świętej.

1. Liturgia odsłania prawdę o Kościele

Według Konstytucji o liturgii II Soboru Watykańskiego przez liturgię widzimy, czym jest Kościół. Jak wierzymy, liturgia jest znakiem, przez który objawia się i samourzeczywistnia Kościół. Każda Eucharystia uobecnia Kościół. Liturgia objawia więc Kościół, na dobre i na złe. Może (powinna) ujawniać jego piękno, ale może je też maskować. Może nawet „demaskować” Kościół, np. jego płyciznę duchową czy bierność świeckich.

Mówiąc językiem bardziej świeckim, liturgia jest czymś w rodzaju wizytówki Kościoła. Rzecz jasna, jest także czymś o wiele istotniejszym niż wizytówka: wszak moja wizytówka zabiera tylko niektóre informacje o mnie samym, nigdy bym natomiast nie powiedział, że ona mnie wyraża. Jednak mimo swojej ułomności, porównanie to wskazuje na coś istotnego: tak jak wizytówka powinna zawierać najważniejsze informacje o człowieku (z profesjonalnego punktu widzenia), tak też każda liturgia, a w szczególności niedzielna, powinna wyrażać prawdę o Kościele. Powinność ta wynika zarówno ze wspomnianego już teologicznego zna-

czenia liturgii, jak i ze zwykłych ludzkich oczekiwań: wiele osób właśnie przez pryzmat niedzielnej Mszy świętej kształtuje swoje myślenie o Kościele.

Czy zatem nasze niedzielne celebracje liturgiczne odkrywają prawdę o Kościele, czy też raczej ją ukrywają? Ile jest miejsc, do których można z czystym sercem przyprowadzić ludzi poszukujących i powiedzieć im, że to jest prawdziwa modlitwa Kościoła?

Są takie miejsca! Charakterystyczne, że skoro tylko się pojawiają, to same niejako promieniują, tak bardzo są potrzebne. Mam jednak wrażenie, że niezbędnym warunkiem zaistnienia takiego miejsca jest istnienie zakonnej wspólnoty, która swoją modlitwą zaraża innych. Tak jest w przypadku Wspólnot Jerozolimskich, na podobnej zasadzie w Polsce udaje się formacja liturgiczna ojcom dominikanom. Najnowszy warszawski przykład dotyczy klasztoru na Służewiu, który po zakorzenieniu się w nim dominikańskich kleryków-studentów filozofii, przemienił tamtejszą duszpasterską pustynię w pulsujące życiem miejsce, przyciągające co niedziela średnio 1000 młodych ludzi. A o tym, jak trudno zgromadzić w Warszawie taką liczbę młodych ludzi na modlitwie, wiedzą doskonale wszyscy, którzy trochę znają to coraz bardziej laicyzujące się miasto.

2. Liturgia naprawdę jest szczytem i źródłem życia Kościoła

To zdanie jest dobrze znane każdemu studentowi teologii. Ale czy w nie wierzymy? Akcent chciałbym położyć na słowie „naprawdę”. Czy naprawdę wierzymy, że liturgia jest szczytem i źródłem życia Kościoła, w szczególności w to, że jest ona źródłem?

Godna podkreślenia jest tu rola wspólnoty starannie i nabożnie celebrującej Eucharystię. Taka wspólnota promieniuje swoją modlitwą! W tym jest wielka łaska i źródło życia Kościoła. Tak działa sam Bóg... W taki właśnie sposób liturgia naprawdę jest źródłem życia Kościoła.

Skoro zatem Kościół potrzebuje odnowy, a potrzebuje jej zawsze, zaś w naszych czasach szczególnie, to znaczy trzeba od źródła... O ileż inaczej wyglądałby duchowy krajobraz Warszawy, gdyby gdzieś w centrum miasta mogła zamieszkać jedna ze Wspólnot Jerozolimskich. Nie mamy jednak (na szczęście) pustych klasztorów, a to do nich sprowadzają się przedstawiciele tych wspólnot. Ważne jest, że wspólnoty te same nie wybierają sobie miejsca, a czekają na zaproszenie ze strony lokalnego biskupa, niejako czekając na praktyczne wyciągnięcie praktycznych wniosków z uznania, że liturgia naprawdę jest źródłem życia Kościoła.

Rzecz jasna, Wspólnoty Jerozolimskie czy bracia dominikanie nie mogą pojawić się w każdej parafii. Skąd wtedy brać wspólnotę ożywiającą modlitwę liturgiczną? Oczywiście, z parafian. Ktoś może się obruszyć: łatwo powiedzieć... Wydaje mi się jednak, że znam nieco polską rzeczywistość eklezjalną i dlatego jestem przekonany, że w każdej parafii znajdzie się co najmniej kilka osób, którym zależy na odpowiednio głębokim przeżyciu niedzielnej Eucharystii i które są gotowe włączyć się w jej przygotowanie. Gdyby takich osób nie było w naszych parafiach, to już dawno by one opustoszały. Sęk w tym, że czasem proboszcz jest tak bardzo oderwany od swoich owieczek, że wydaje mu się, iż tylko on sam jeden beznadziejnie się trudzi na żniwie Pańskim. Istnieje fenomen zdumiewającej bierności świeckich, lecz raczej na każdym kościelnym bezrybiu znajdzie się ryba...

W wielu parafiach istnieją wspólnoty rozmaitych ruchów religijnych czy grupy modlitewne. W takiej sytuacji jest o wiele łatwiej znaleźć wspólnotę gotową do przygotowywania liturgii. Zawsze bowiem znajdzie się w takich wspólnotach grupa osób chętnych do odnowy Kościoła, a nie tylko samych siebie.

3. Przełożyć z polskiego na polski

W Polsce — upraszczając mocno sytuację — zatrzymaliśmy się na pierwszym etapie reformy liturgicznej. Niewiele było działań kształtujących na szerszą skalę świadomość liturgiczną (poza ruchami odnowy chrześcijańskiej). Praktycznie uznano, że przetłumaczenie tekstów i nauczanie wiernych stosowania ich podczas liturgii załatwia sprawę. Niektórzy naiwnie wierzyli, że reszta sama się dokona (mówił o tym ks. prof. Janusz Tarnowski w telewizyjnym programie *Dzieci Soboru zadają pytania*).

Wciąż zatem przed nami ciężka praca. Po wprowadzeniu języka polskiego zrozumiałe są już dla wszystkich słowa, ale czy rozumiałe są znaki? Zrozumiał jest tekst liturgicznych modlitw, ale czy rozumiał jest ich znaczenie? Wreszcie coraz więcej rozumiemy, ale czy w praktyce nie zagubiliśmy misterium (na co zwracają uwagę zwolennicy abp. Lefebvre'a).

Jednym z kluczowych zadań Kościoła w Polsce musi być duszpasterstwo liturgiczne. Rzekłbym wręcz: duszpasterstwo mistagogiczne, gdyby nie to, że słowo „mistagogia” ma — przy jak najszlachetniejszej treści — jedną zasadniczą wadę: dążąc do wprowadzenia w misterium przez miste-

rium, czyli krótko mówiąc, do wyjaśnienia, wprowadza nowy tajemniczy termin. Inaczej mówiąc — wedle słów bp. Bronisława Dembowskiego ze wspomnianego programu *Dzieci Soboru zadają pytania* — trzeba teraz liturgię „przełożyć z polskiego na polski”, tzn. zająć się nie tylko zrozumiałością słów, lecz przede wszystkim zrozumiałością treści; nie zadowalać się liturgicznym językiem polskim, lecz stale podejmować wytrwałą pracę nad formowaniem liturgicznej świadomości i odpowiedzialności katolików w Polsce. Jest to jedna ze spraw najważniejszych, jeśli wciąż chcemy, żeby nasz Kościół dążył do połączenia masowości z duchową głębią.

Na marginesie dodać trzeba, że rosnąca w Polsce popularność zwolenników abp. Lefebvre’a (w obu wersjach: oderwanej od łączności ze Stolicą Apostolską i podtrzymującej te więzi) ma, moim zdaniem, źródło w niedostatkach reformy liturgicznej w Polsce. Do tych grup trafiają zazwyczaj naprawdę pobożni ludzie, którym czegoś brakuje w ich macierzystych katolickich świątyniach. Taki sam mechanizm działa zresztą w przypadku sekt.

4. Idą lepsze czasy dla (dobrej) liturgii

Skoro twierdzę, że idą czasy lepsze, to znaczy, że były czasy złe dla liturgii. Temu nie da się zaprzeczyć. W literaturze fachowej zastanawiano się przecież, czy liturgia w ogóle jeszcze ma przyszłość, czy człowiek dzisiejszy nie staje się obcy na znaki liturgiczne, czy nie nadchodzą czasy „postliturgiczne” itp.

Ostatnio coś jednak drgnęło. Zauważyć można rosnący duchowy głód współczesnych ludzi, a zwłaszcza młodzieży. Ludzie końca XX wieku zaczynają być zmęczeni idolami wykreowanymi przez kulturę masową, których można naśladować jedynie zewnątrz. Wzrasta tęsknota za bohaterami wewnętrznymi, których można naśladować w świecie ducha. Coraz większa wydaje mi się gotowość do poszukiwania i przeżywania misterium (rzecz jasna, także poza Kościołem, przez sekty czy okultyzm). Dostrzec można objawy kryzysu racjonalizmu — załamała się wiara, że wszystko można ogarnąć rozumem. Co za tym idzie, coraz szersza jest akceptacja wymiaru misterium w ludzkim życiu; częściej godzimy się na to, że nie wszystko da się w człowieku wyjaśnić i zrozumieć, że jest on jednak tajemnicą.

Jeśli tak jest rzeczywiście, to łatwiej do takiego człowieka będzie trafić z propozycją liturgiczną. Człowiek bardziej wrażliwy na misterium

swojego życia, chętniej i łatwiej poszukiwać będzie Boga, także w modlitwie liturgicznej. Będzie się otwierał na tradycyjne symbole — przykład tego mamy już w postaci odrodzenia roli kadzidła podczas Mszy z udziałem młodzieży. Okadzanie ołtarza i wiernych — czynność liturgiczna stopniowo zapomniana w ostatnich latach — stało się czymś niesłychanie atrakcyjnym (bo tajemniczym) dla młodych ludzi.

5. Potrzeba mądrej pedagogiki liturgicznej

Mówiąc o mądrej pedagogice liturgicznej, mam na myśli stopniowe wprowadzenie wiernych coraz głębiej w misterium Krzyża i Zmartwychwstania. Moja młodsza pięcioletnia córka ostatnio sama sobie wymyśliła własną pedagogikę liturgiczną: zazdroszcząc innym członkom rodziny, że co wieczór uczestniczą w nabożeństwach Triduum Paschalnego stwierdziła, że skoro w tym roku była w kościele w Wielki Czwartek, to za rok będzie także w Wielki Piątek, zaś za dwa lata wybierze się również na nocną liturgię Wigilii Paschalnej. Dla osób w starszym wieku pedagogika liturgiczna musi być o wiele bardziej subtelna, ale w sumie ma prowadzić do tego samego celu — formowania pragnienia spotkania z Bogiem w tej właśnie, uprzywilejowanej wedle wiary Kościoła, formie.

W jaki jednak sposób liturgia ma przemawiać do współczesnych ludzi, skoro oprócz wspomnianych powyżej sygnałów pozytywnych — następują zmiany niepokojące, niekiedy wręcz z istoty swej „antyliturgiczne”? Liturgia jest doświadczeniem wieczności, polega na powtarzaniu świętych czynności, na uobecnienia Ofiary dokonanej dwa tysiące lat temu. W kulturze masowej nie ma zaś miejsca na powtarzanie. Powtarzać można co najwyżej aktualny hit, ale też nie za długo. Poza tym panuje klimat ciągłego oczekiwania na nowość, poszukiwania zmiany i atrakcji; dominuje mentalność szukająca coraz nowych bodźców; u dzieci zanika zdolność do koncentracji (Amerykanie zdiagnozowali jednostkę chorobową *zapping*, czyli syndrom pilota telewizyjnego, polegającą nie niemożności dłuższej koncentracji uwagi na czymkolwiek). Zapomnieliśmy kult natychmiastowości. Coraz więcej produktów otrzymujemy w wersji *instant*: rozpuścić, zamieszać, podgrzać i efekt gotowy... Podobnie zaczynamy myśleć o życiu. Oczekujemy na błyskawiczne efekty i sukcesy.

Co ma w takiej sytuacji robić duszpasterz? W pewnym sensie jest to element szerszej kwestii atrakcyjności dobra — czy ciche dobro może być

bardziej atrakcyjne od krzykliwego zła? Wraz z wieloma innymi ludźmi jestem przekonany, że może tak być, ukazanie atrakcyjności dobra wymaga jednak dużo więcej wysiłku. Jak to przełożyć na duszpasterstwo liturgiczne? Otóż wydaje mi się, że dobry duszpasterz musi z jednej strony najpierw coś uatrakcyjnić, by przyciągnąć nie przekonanych (łacińskie *atrahere* znaczy przecież „przyciągać”), a następnie musi ich wprowadzać na coraz głębsze liturgiczne wody, gdzie najbardziej „atrakcyjnym” momentem ma się stać cisza. To oznacza jednak wprowadzenie ich w inny wymiar rzeczywistości; prowadzenie od koncentracji na sobie do koncentracji na Bogu, od działania własnego do działania Boga...

Czy jednak liturgię można „uatrakcyjnić”? W sensie ścisłym na pewno nie. Trudno zresztą wymyślić coś bardziej atrakcyjnego niż przemiana chleba w Ciało Chrystusa, a wina w Jego Krew... Można jednak nasze nabożeństwo nieco więcej różnicować. W Polsce Msze święte są zasadniczo do siebie bardzo podobne, często niezależnie od lokalnych tradycji, wieku modlących się czy wielkości grupy. Nie korzysta się z istniejących możliwości urozmaiceń — a wykorzystanie ich byłoby właściwym sposobem dotarcia do mentalności poszukującej nowości. Jeśli zaś rzeczywiście chodzi o ukazanie w następnym kroku atrakcyjności tego, co wieczne, to w takim uatrakcyjnieniu liturgii nie widzę nic zdrożnego.

W nowej pięknej książce o liturgii zatytułowanej *Fascynujące zaproszenie* Wojciech Jędrzejewski OP pisze o Mszy świętej jako randce z ukochanym. Sądzę, że można mieć mu za złe takie porównania, ale tylko wtedy, gdy zaproponuje się równie skuteczny sposób docierania do młodzieży z liturgiczną zachętą.

6. Kilka przykładów praktycznych

Na niedostatki reformy liturgicznej w Polsce wskazywano już niejednokrotnie. Dla potrzeb tego wystąpienia skupię się wyłącznie na szczytowych momentach roku liturgicznego (Triduum Paschalne) i samej Mszy świętej (Komunia święta).

Ile razy krytykowano już polski zwyczaj rozpoczynania liturgii Wigilii Paschalnej jeszcze za dnia! Wciąż bezskutecznie. W tym roku ponownie widziałem, jak w całym moim rodzinnym mieście, w kilku parafiach, celebrowano radość wielkanocną przy znakomitym jeszcze świetle dziennym, bo akurat był piękny dzień słoneczny. Zdarza się nieraz, że przy ołtarzu Pan Jezus już zmartwychwstał, a strażacy wciąż wędrują przez kościół, by pełnić wartę przy Jego Ciele złożonym w grobie. Takie

liturgiczne nonsensy można by łatwo usunąć, gdyby tylko kościelni zwierzchnicy wykazali nieco więcej konsekwencji w realizacji liturgicznych zaleceń czy wręcz zarządzeń.

W przypadku sposobu celebrowania Komunii świętej można by długo wyliczać: nieufność wobec Komunii pod dwiema postaciami, niechęć do wprowadzenia możliwości przyjmowania Komunii na rękę, nieustanne traktowanie Komunii jako nagrody za dobre życie (czy też za spowiedź), a nie jako pokarmu dla grzeszników. Wciąż nie może przyjąć się zasada, że wierni powinni przyjmować Komunię świętą z tej samej ofiary co kapłan, a jedynie wyjątkowo z tabernakulum. Celebransi wykazują zdumiewający brak zrozumienia dla tego postulatu, a przecież wynika on z troski o czytelność znaku liturgicznego: skoro po Ciało Pana Jezusa w czasie Mszy trzeba iść do tabernakulum, to co dokonuje się na ołtarzu podczas tej Mszy?

Przez pryzmat tych szczytowych momentów z życia liturgicznego dobrze widać, jak daleko nam do doskonałości. Trzeba umożliwić zmiany znaków liturgicznych, tak aby czytelniej wyrażały one głęboką treść religijną. Pamiętać jednak trzeba przy tym, by nie powtórzyć błędu z pierwszych lat posoborowych i nie skoncentrować się wyłącznie na wprowadzaniu nowych zewnętrznych znaków, bez koniecznego mozolnego wprowadzania w treść misterium. Cóż by bowiem przyszło np. z rozdawania Komunii na rękę, gdyby miało to być jedynie wprowadzenie nowej ceremonii, bez świadomości dosłownego traktowania słów: „Bierzcie i jedzcie”.

7. Kto jest podmiotem celebracji liturgicznej?

Powyższe pytanie przez współczesną teologię jest rozstrzygnięte, o ile rozumiem, jasno: podmiotem celebracji liturgicznej jest całe zgromadzenie, a kapłan jego przewodniczącym. Trudności jednak pojawiają się znowu w praktyce. Dlaczego na przykład ludzie świeccy nie są w ogóle reprezentowani w synodalnej komisji ds. liturgii? Dlaczego nie ma w niej ani jednej kobiety, także zakonnicy, skoro to kobiety stanowią ponad połowę uczestników naszych zgromadzeń liturgicznych? Dlaczego w skład komisji synodalnej wchodzi wyłącznie specjaliści-księża?

Wspomniana komisja II Synodu Plenarnego przygotowała projekt dokumentu końcowego opublikowany w „Kurierze Synodalnym”, który zawiera ważne postulaty, postanowienia i propozycje zarządzeń (np. punkty 18 i 36 prezentują postulaty, o których mówiłem powyżej w przypad-

ku Komunii świętej), jest merytorycznie poprawny, ale mało porywający. Chociaż komisja przedstawia istotne problemy życia liturgicznego w Polsce, to jednak czyni to językiem dość suchym (o wiele lepszy był pod tym względem wstępny dokument liturgiczny, jaki opublikowano jeszcze przed rozpoczęciem Synodu). O potrzebie pięknej liturgii trzeba pisać równie pięknym językiem. Nie twierdzę, że wszyscy świeccy potrafiliby napisać ten dokument bardziej porywającym językiem, jednak z pewnością byłoby bardziej wrażliwi na tę kwestię. Przede wszystkim jednak udział świeckich w tego typu komisjach wydaje mi się wymogiem teologicznym — skoro nie tylko duchowni są podmiotem celebracji liturgicznej, to nie tylko oni powinni dyskutować o liturgii (tym bardziej jestem wdzięczny Sekcji Liturgicznej ATK, a zwłaszcza ks. prof. Bogusławowi Nadolskiemu, za zaproszenie zwykłego publicysty do przemawiania w gronie liturgistów).

8. Pamiętajmy o dzieciach!

Skoro apeluję o uwzględnienie perspektywy świeckich, to dorzucę jeszcze kilka uwag, jakie wypływają z doświadczenia ojca. Mam wrażenie, że do wielu duchownych dotarło już podstawowe dla powodzenia Mszy z udziałem dzieci przeświadczenie, że wymagają one dużo starannejszego przygotowania niż inne nabożeństwa. Nie wystarczy bowiem prosto, infantylnie wręcz, powiedzieć kazanie. Ta świadomość jest coraz bardziej powszechna.

Wciąż jednak marnowane są liczne szanse dotarcia do dzieci z przesłaniem Ewangelii. Spróbuję to pokazać na przykładzie świąt Bożego Narodzenia. Dość często w polskich kościołach odbywają się specjalne adwentowe nabożeństwa i przedświąteczne przygotowania z udziałem dzieci, jednak w dni świąteczne dzieci są w świątyniach najczęściej pozostawione samym sobie. Nie przychodzą najczęściej na pasterkę (bo za późno), pierwszego dnia świąt słuchają listu pasterskiego episkopatu, a następnego dnia listu własnego biskupa. Gdyby autorzy tych listów mogli kiedyś usłyszeć, z jakim smutkiem i żalem reagują dzieci na pozbowienie ich specjalnie dla nich przygotowanego kazania...

Winni są tu bynajmniej nie tylko autorzy listów, lecz także ich lektorki. Zrozumiałe jest, że księża, po trudach przedświątecznych spowiedzi, zwalniają się z przygotowania specjalnych kazań i wygodniej im odczytać list pisany przez kogoś ważniejszego. Jest to jednak chyba nadmiar posuszeństwa — wszak krótki zazwyczaj list biskupa ordynariusza

sza można odczytać w ramach ogłoszeń. Przydałoby się też trochę więcej pomysowości co do rozpowszechniania listów pasterskich — dobrym pomysłem jest roznoszenie listu biskupa przez księży chodzących „po kołędzie” (w Lublinie abp Życiński wydał taki list w formie atrakcyjnej ulotki, z ilustracjami).

9. Dlaczego chodzę/ nie chodzę do kościoła?

Pytanie to dotyczy niemal wszystkich. W redakcji miesięcznika „Więź” uznaliśmy, że trzeba je postawić w formie otwartej ankiety. Przecież ponad 90% Polaków określa siebie jako wierzących katolików. Tymczasem — jak podają statystyki — w niedzielnej Mszy świętej bierze udział ok. 30%. Oznacza to, że na pytanie „czy iść do kościoła?” ludzie uważający się za wierzących prawie dwa razy częściej dają odpowiedź negatywną niż pozytywną.

Tyle statystyka. Rodzi się jednak pytanie „dlaczego?” Jakimi motywami kierują się jedni i drudzy? Odpowiedź jest zawsze indywidualna. Niemal u każdego jest ona wynikiem splotu rozmaitych uwarunkowań. Prosta statystyka przeciwstawiająca praktykujących niepraktykującym niewiele wyjaśnia. Dla niejednej osoby uproszczone zaszeregowania mogą się też okazać krzywdzące. Dotykamy tu bowiem kwestii najistotniejszych, najbardziej osobistych i zarazem najtrudniejszych do przekazania — rozumienia Boga, Kościoła, wiary, modlitwy, i naszego osobistego stosunku do tych rzeczywistości.

Redakcja „Więzi” zaprosiła wszystkich — chodzących i niechodzących do kościoła, chodzących regularnie i od czasu do czasu, młodych i starych, grzeszników wielkich i małych — do podzielenia się z nami swoimi refleksjami. Postawiliśmy następujące pytania:

- dlaczego chodzę/ nie chodzę do kościoła?
- co mnie w liturgii mszalnej przyciąga i zachęca, a co zniechęca?
- co najgłębiej przeżywam podczas liturgii, co jest dla mnie najtrudniejsze?
- czego oczekuję, uczestnicząc we Mszy świętej?
- jak rozumiem swoje uczestnictwo w liturgii?

Odpowiedzi planujemy opublikować w październikowym numerze roku 1998.

Mówię o tym podczas tego sympozjum, by zwrócić uwagę na konieczność stawiania tego typu pytań, także w codziennej praktyce duszpasterskiej. Skoro chcemy, by ludzie uczestniczyli w Eucharystii w sposób

świadomy i wolny, to trzeba wiedzieć, dlaczego przychodzą, a co ich powstrzymuje.

10. Nic o kazaniach?

Może ktoś się zdziwić, że nic do tej pory nie powiedziałem o największej ponoć udręce ludzi świeckich w kościele, jaką ma być wysłuchiwanie kazań. Uważam, że to nie po kazania ludzie przychodzą do kościoła. Dlatego o nich nie mówiłem. Złym kazaniem można wprawdzie popsuć najpiękniejszą liturgię, a dobrym co nieco naprawić w liturgii sprawowanej od niechcenia, jednak upierałbym się, że jest ono tylko bardzo ważne, a nie najważniejsze.

A zawsze na pocieszenie i tak pozostaje anegdota zaczerpnięta ze wspomnianej książki *Fascynujące zaproszenie* o Wojciecha Jędrzejewskiego OP. Dlaczego *Credo* następuje w Mszy świętej po kazaniu? „Bo widzisz, nawet jeśli to, co wygłosi ksiądz, gruntownie zniechęciłoby cię do pójścia za Jezusem, to masz mocny punkt oparcia: Wiara Kościoła. Kiedy kaznodzieja nagada głupot, z ulgą wyznaj: A ja jednak wierzę w Boga Ojca wszechmogącego...”

Zbigniew NOSOWSKI